

CZĘŚĆ V

KAZACHSTAN

ROSJA

UKRAINA

Dzień siedemdziesiąty

9 czerwiec 2010

Pierwszy dzień naszego drugiego pobytu w Kazachstanie zaczyna się od upału. Mimo, że jesteśmy nad dużym akwenem wodnym i wieje przyjemny wiaterek, to dzień jest od samego rana upalny. Aż strach pomyśleć, co będzie się później działo. Poranek zaczynamy od pysznej kawy, którą zaserwowała nam Beata (dba o nas, nie można złego słowa na nią powiedzieć, tylko latać na miotle nie chciała).

Ruszamy. Zanim udaje się nam tak naprawdę rozpędzić nasze Land Rover'y Janusz znajduje żółwia. Znaleźisko wymusza na nas krótki postój no i sesję fotograficzną. Później wszystko już przebiega zgodnie z planem. Wyjeżdżamy na wąską, ale asfaltową drogę i docieramy do Szardary. Szare, nieciekawe miasteczko, w którym po raz pierwszy w dniu dzisiejszym przekraczamy Syrdarię – rzekę, która towarzyszyć będzie nam przez cały dzień. Kilka km za miastem zatrzymujemy się na małym bazarku, Beata uzupełnia nasze zapasy owocowe o małe jabłuszka, przypominające nasze papierówki. A w kolejnej miejscowości zatrzymujemy się na śniadanie. Beata zamawia lagman, a ja tłusty rosół z baraniny z ziemniakami. Posiłek dobrze nam zrobił. Beatę wykończył, bo niemalże natychmiast po wejściu do samochodu ucięła sobie drzemkę. Zresztą panujący w samochodzie upał (mimo włączonej klimatyzacji temperatura w samochodzie przekraczała 40 stopni) tylko sprzyjał tej formie relaksu. Kierowcy mogli sobie tylko o takim luksusie pomarzyć.

Przekraczamy Syrdarię po raz drugi. Niestety – za mostem stan drogi zdecydowanie się pogarsza, a nasze tempo spada do 15 km/h. I tak jedziemy sobie przez dobre 50 km. Po drodze mijamy dziesiątki ciężarówek pracujących przy budowie kanału melioracyjnego. Każdorazowo mijanie ciężarówki połączone było z przebiciem się przez chmurę pyłu. Ale taki urok tego kraju, gdzie wysokie temperatury i kurz są wszechobecne. Tereny, które mijamy są wyjątkowo żyzne. Dookoła nas jest soczysta zieleń. A to wszystko dzięki życiodajnej rzece. Wystarczy odjechać kilkanaście km od rzeki, by móc podziwiać step i półpustynię. Ale przy samej rzece ziemia jest żyzna, jest wiele pól uprawnych. Mijamy również wiele betonowych kanałów nawadniających. Wszystkie utrzymane w należytej sprawności, a przy każdym ekipa obsługująca i zabezpieczająca.

Docieramy do trzeciego mostu i znowu rzekę mamy po prawej stronie. Tym razem tereny, przez które przejeżdżamy, są mocno podtopione. Duże połacie ziemi pokrywa niewielka, ok. pół metrowa, warstwa wody. Te płytkie podtopienia wykorzystują zwierzęta, które chłodzą się leżąc w wodzie.

Kierujemy się na Turkiestan. Po przejechaniu kolejnych 30 km dojeżdżamy do miejsca, gdzie powinniśmy Syrdarię przekroczyć po raz czwarty. Powinniśmy, bo mostu nie ma. W tym miejscu, do brzegu, zacumowany jest most pontonowy, ale dłaczego nie ma przeprawy – trudno powiedzieć. Musimy zawrócić i jechać dalej wzdłuż rzeki. Kolejna przeprawa powinna być jakieś 30 – 40 km dalej. Po drodze zatrzymujemy się jeszcze w małym miasteczku, gdzie z przydrożnej studni uzupełniamy nasze zapasy wody. W końcu docieramy do ostatniej przeprawy przez Syrdarię i po przejechaniu kilkunastu km zbaczamy z głównej trasy w celu poszukiwania dobrego miejsca na nocleg. Janusz znalazł fantastyczne miejsce – mamy łąkę, las i źródło. Rozbijamy nasze obozowisko, gotujemy kolację i wypoczywamy. A jutro rano planujemy dotrzeć do Turkiestanu.

Dzień siedemdziesiąty pierwszy

10 czerwiec 2010

Dzień rozpoczynamy od prac porządkowych. Właściwie to właściciel Defendera zaczyna czyścić swój samochodzik. Ja – tylko dla przyzwoitości i towarzystwa – ograniczyłem się do umycia szyb w Dyskotece. Przy naszym źródelku jeszcze nabieramy wodę, robimy małą toaletę i jesteśmy gotowi do drogi. Do Turkiestanu docieramy jeszcze o poranku. W miasteczku znajduje się wpisany na listę UNESCO kompleks religijny poświęcony pierwszemu wielkiemu świętemu – Hodży Ahmedowi Jasaujemu. Cały kompleks składa się z trzech mauzoleów, dwóch meczetów, łaźni tureckiej i pozostałości murów. Cała reszta terenu to ogromny plac budowy, na którym obecnie powstaje kompleks turystyczno – pielgrzymkowy. To miejsce przyciąga tłumy pielgrzymów z całej Centralnej Azji. Największym obiektem jest mauzoleum Jasaujego, w którym poza grobowcem i meczetem urządzono małe tematyczne muzeum. Pozostałe dwa mauzolea w dniu dzisiejszym były pozamykane, więc mogliśmy zobaczyć je tylko z zewnątrz, natomiast zajrzeliśmy do wszystkich pozostałych obiektów. We wszystkich zorganizowano wystawy tematyczne. A największe wrażenie zrobił na nas podziemny meczet. Z zewnątrz wygląda jakby z ziemi wystawały kopuły, natomiast wewnątrz to drewniana kolumnada i piękne zdobienia. A najprzyjemniejszy jest panujący tutaj chłód będący pożądaną odmianą po słońcu i upale.

Wracamy do samochodów. A tu przykra niespodzianka. W Defie mamy z tyłu „kpacia”. W Dyskotece również tył wygląda jakoś niemrawo, ale powietrze w całości jeszcze nie uszło. Próbuje pompować koła przy użyciu mojego kompresora, który jednak po kilku minutach pracy odmawia posłuszeństwa. Nieodzwonna więc będzie wizyta u wulkanizatora. Zanim jednak znaleźliśmy warsztat, który uporał się z naszym ogumieniem wybraliśmy się na komendę policji, w celu wykonania „registracji”, czyli obowiązkowego meldunku dla obcokrajowców. W przeciwieństwie do tego, co mieliśmy w Ałma-Acie, tutaj wszystko poszło gładko. Rejestrował nas sam naczelnik lokalnej policji, niestety – dostaliśmy tylko na 5 dni, więc jeszcze raz przyjdzie nam się wybrać na posterunek. Mamy nadzieję, że dopiero w Uralsku, gdzie będzie troszkę czasu, bo tam przyjdzie czekać nam na rosyjskie wizy. Reszta dnia to podróż magistralną drogą M52. Podczas podróży, cały czas doskwiera nam upał. Klimatyzacje w naszych samochodach ledwo ciągną. Podobnie zresztą jak my sami. Pot leje się z nas strumieniami, a wysokie temperatury nie sprzyjają podróży. A wszyscy napotkani mieszkańcy twierdzą, że upały dopiero się zaczną za jakiś miesiąc, dwa. Po drodze zatrzymujemy się tylko na obiad, gdzie podano nam rybkę z nieświeżą sałatką. Drugi postój wypadł nam w dużym przemysłowym mieście – Kyzyl Orda. Tutaj znajdujemy bankomat i po pozyskaniu odpowiedniej ilości gotówki robimy małe zakupy. Zapominamy jednak o zatankowaniu samochodów, co mści się bardzo szybko. W miasteczku III Internacional (świetna nazwa) Defender zjeżdża z głównej drogi i chłopaki rozpoczynają poszukiwania miejsca, gdzie można zakupić paliwo, załoga Dyskoteki natomiast oddaje się błogiemu lenistwu i uzupełnianiu kalorii. Niestety, w miasteczku nie ma stacji paliw, chłopaki jednak mieli troszkę szczęścia, bo jeden z gospodarzy sprzedał im po okazyjnej cenie 40 dm³ ropy. Uspokojeni mogliśmy ruszyć dalej. Wczesnym wieczorem dotarliśmy w końcu do stacji paliw i tutaj bez zahamowań napełniliśmy nasze zbiorniki do pełna, co pochłonęło od razu połowę naszych finansów. Nasze maszyny konsumują ostatnio bez opamiętania. Po zatankowaniu ujechaliśmy jeszcze ze 20 km i zatrzymaliśmy się na stepie na nocleg. Beatka zajęła się wpierw kawą i kolacją (nabraliśmy jakiegoś dziwnego nawyku picia kawy przed snem), a następnie wieczorną toaletą. A darła się przy tym w niebogłosość ...

Dzień siedemdziesiąty drugi

11 czerwiec 2010

Nocleg na pustyni. Noc spędziliśmy troszkę nerwowo. Ciężko spać w upale, a w nocy w samochodzie temperatura dochodziła do 30 stopni. Ale poza tym wszystko było ok. Nikt nam nie przeszkadzał, miejsce było wyjątkowo spokojne, mimo, że lokalizacja w pobliżu drogi i torów kolejowych sugerowałaby coś innego. Ale nie.

Do Arala (Aralaska) zostało nam niespełna 300 km. A to miasto jest punktem pośrednim w naszych dzisiejszych zamierzeniach. Zaplanowaliśmy bowiem dotrzeć do morza Aralskiego, a właściwie do jego mniejszej, północnej części, która przez miejscowych nazywana jest Małym Aralem. Morze Aralskie jest niechlubnym przykładem do czego doprowadzić może nieprzemysłane wykorzystywanie zasobów naturalnych. Od lat 60-tych XX wieku morze utraciło ponad połowę zajmowanej wcześniej powierzchni, a ile procent objętości wody – trudno w ogóle na ten temat dyskutować. Jedną z pozostałości po czasach świetności tego miejsca są wraki statków leżące na piasku. I jedno z takich cmentarzysk chcielibyśmy zobaczyć. Pierwotnie planowaliśmy wizytę na cmentarzysku statków pod miejscowością Mojnak w Uzbekistanie, ale z wiadomych względów ten wariant musieliśmy opuścić. Wybraliśmy więc miasteczko Żalangasz po kazaskiej stronie. I w tym kierunku zamierzaliśmy pojechać.

Trasa wiodła przez step. Na szczęście stan techniczny drogi jest opłakany, co kilkanaście km prowadzone są prace drogowe, więc tak naprawdę uniknęliśmy sytuacji, w których monotonia mogłaby być dla kierowców groźna. Cały czas mieliśmy zajęcie, upał na szczęście także zelżał, dzisiaj temperatura na zewnątrz samochodu rzadko przekraczała 40 stopni.

Mijamy miasto Bajkonur. Nazwa ta jest znana wszystkim miłośnikom podbojów kosmicznych. Tutaj, na terenie Kazachstanu, Rosja ma swój kosmodrom. Mieliśmy nadzieję zobaczyć to miejsce, zwłaszcza, że na terenie znajduje się m.in. muzeum. Z taką myślą podjechaliśmy pod główną bramę kosmodromu, ale tutaj nie ma mowy (np. za łapówką) jechać dalej. Otrzymujemy za to informację, że zwiedzanie jest jak najbardziej możliwe, wymagane jest tylko specjalne pozwolenie i przepustka, którą można wyrobić u komendanta w miasteczku. Rosyjskie miasto Bajkonur oddalone jest od głównej bramy kosmodromu jakieś 8 km. Oczywiście natychmiast zawróciliśmy i pojechaliśmy we wskazanym kierunku, by utknąć na kolejnej bramie. Nie mniej – tutaj żołnierze poprosili o nasze paszporty i zaczęli wydzwaniać.

Po pół godzinie oczekiwań pojawił się mężczyzna, po cywilnemu ale z naszymi paszportami i zaczął po przyjacielsku nas wypytywać, przede wszystkim o cel naszej wizyty w Iranie. Po rozmowie oświadczył, że niestety nie mamy rady dzisiaj przepustek załatwić, że awizację takich dokumentów przeprowadza się dwa tygodnie wcześniej i że wpuszczane są tylko zorganizowane wycieczki, po czym oddał nasze paszporty i grzecznie się pożegnał. Nasza przygoda z Bajkonurem właśnie się zakończyła.

Do Arala docieramy koło południa. Na wjeździe do miasta zatrzymani jesteśmy przez stacjonujących tu milicjantów, którym właściwie nie pozwoliliśmy dojść do słowa. Od razu zostali przegadani, zasypani krzyżowym ogniem pytań o drogę do wraków, że właściwie zapomnieli o samej kontroli. A dla nas to było ważne – ja jechałem bez świateł, a poza tym nie udało się nam jeszcze załatwić obowiązkowego ubezpieczenia na samochody. Wjeżdżamy do miasta. Aral nie urzeka urodą, nie oferuje turystom niczego interesującego.

Robimy więc tylko małe zakupy i odwiedzamy jedną z knajpek. Lokal raczej obskurny, ale serwuje całkiem smaczne potrawy. Beata dostała „pielemieni”, a my – „borszcz”, czyli rodzaj zupy warzywnej. Ja na dodatek zdecydowałem się na „kurdak”, czyli baraninę zapiekaną z cebulką. Wszystko było bardzo dobre, tylko porcje jakieś takie małe.

Z Aralska ruszyliśmy na zachód, w kierunku morza. Początkowo asfaltowa droga szybko zmienia nawierzchnię na szutrową. Stan drogi uniemożliwia podróż z prędkością większą niż 40 km/h. W niczym nam to jednak nie przeszkadza, mamy bowiem przyjemność mijać wiele stad wielbłądów i koni, a to oznacza kolejne fotografie. Poza tym nad nami krąży dziesiątki ptaków drapieżnych (które wywołały spór między mną a Januszem – wg Janusza to były jastrzębie, ja obstawałem raczej za orłami – spór zostanie rozstrzygnięty na podstawie zdjęć jak znajdziemy jakiegoś ornitologa, na razie jest nierozstrzygnięty), które również wdzięcznie pozowały do zdjęć.

Docieramy do Żalangasz. Już z daleka, poniżej linii horyzontu, widać wraki. Omijamy wioskę i próbujemy na azymut przejechać po dnie wyschniętego morza. Któż by pomyślał, że Dyskoteka przeprawić się będzie przez morze na własnych kołach. Ale tak właśnie jest. Dno jest wyschnięte, ale sypkie. Koła grzebią się w piasku i soli, ale można jechać, więc pomału, bez pośpiechu przejeżdżamy kolejne metry. Niestety – byłe dno morskie jest nieco zdradliwe i miejscami jest sporo wilgoci. Najgorsze miejsca to łany solne, gdzie i wilgoć jest największa. Jedno z takich miejsc udało się nam z dużym wysiłkiem przejechać, drugie pokonał o własnych siłach tylko Defender. Dyskoteka niestety utknęła, niezbędna więc była interwencja wyciągarki. Po krótkiej i niezwykle efektywnej operacji ruszyliśmy na poszukiwanie twardego gruntu, którym bezpiecznie dojechaliśmy do pierwszego wraku, zamieszkałego przez konie, krowy i wielbłądy. Po drodze minęliśmy jeszcze dwie mniejsze pozostałości po kutrach rybackich, a następnie przejechaliśmy kilkanaście km wzdłuż wybrzeża w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca na biwak i nocleg. Niestety, obecne wybrzeże morza Aralskiego w większości to tereny podmokłe, więc na nocleg wybraliśmy jednak miejsce dość oddalone od wody. A wieczór upłynął nam na walce z wszechobecnymi komarami, z którymi nie radziła sobie nawet przereklamowana MUGGA.

Dzień siedemdziesiąty trzeci

12 czerwiec 2010

Budzi nas silny wiatr. W sumie jednak nie ma się czemu dziwić, przecież jesteśmy nad „prawie morzem”. Tereny są tutaj płaskie, więc przed wiatrem nie ma się gdzie schować. Mimo takiej pobudki wstawanie idzie nam wyjątkowo opornie. W autku przecież jest spokój, jedyne odczuwane przez nas skutki wiatru to gwizd, lekkie kołysanie samochodu i widok śmieci porozrzucanych wokoło. Pierwsza czynność jaką przyszło mi skutecznie, po wyjściu z samochodu, to zabrać foliowy worek i ruszyć na poszukiwanie naszych śmieci. Zostawić je tutaj – nie uchodzi. Na szczęście wszystkie nasze odpadki znajdowały się w promieniu ok. 100 m.

Ruszamy w drogę. Początkowo jedziemy wzdłuż linii brzegowej chcąc odnaleźć wioskę Tastiubek, która nam wczoraj gdzieś zaginęła. Niestety droga zawraca i zamiast odnaleźć wioskę wróciliśmy do Żalangasz. Nie chcąc wracać do Arala decydujemy się na jazdę na azymut po stepie. Od czasu do czasu trafiamy na jakąś polną dróżkę, nie mniej jazda w tych warunkach wiąże się z raczej ślamazarnym tempem. Na szczęście pejzaże nie są monotonne. Co rusz mijamy jakieś „górkę”, koryta wyschniętych rzek czy mijamy stada wielbłądów. W jednej z osad znajdujemy studnię, w której próbujemy uzupełnić nasze zapasy wody. Niestety – bezskutecznie. Technika tym razem nas pokonała, nie byliśmy w stanie w trzech ruszyć tej pompy. Opuściliśmy z zamiarem uzupełnienia wody w kolejnej osadzie.

Tak dotarliśmy do Sekseuil. Niespecjalnie urodzive miasteczko położone przy linii kolejowej. Wjeżdżając zatrzymujemy się przy jednym z pierwszych domów, gdzie za zgodą gospodarza, korzystamy ze studni. Uzupełnianie zapasów wody idzie wyjątkowo mozolnie, do dyspozycji bowiem mamy stare metalowe wiaderko i kilka metrów sznurka. Ten osprzęt musi nam wystarczyć do nabierania wody, ale przelewanie jej do naszych pojemników to czasochłonna zabawa. Nie mniej wodę już mamy. Kiedy ja i Janusz zajęliśmy się wodą, Rysiek i Beata godnie nas reprezentowali w kontaktach z miejscową ludnością. Zwłaszcza efektywnie szło to Beacie, która rozdała nasze wszystkie słodczye miejscowym dzieciakom. Ale za to mamy kilka fajnych zdjęć. Kilkaset metrów dalej docieramy do centrum tego małego miasteczka, zlokalizowanego przy dworcu kolejowym. Właściwie całe życie tutaj się koncentruje. Jest tutaj bazar, jedyna knajpka jest również na peronie. Oczywiście korzystamy z okazji i jemy obiad. Trudno oszacować, kiedy trafi się następna okazja. Z informacji otrzymanych od mieszkańców wynika, że czeka nas jazda po raczej przeciętnych drogach. Ale w końcu jedziemy samochodami 4x4, więc nie powinno być to dla nas problemem. Inna sprawa, że podczas tej podróży nasze autka już nieźle „w kość” dostały.

Wyjeżdżamy z Sekseuil. Trasa wiedzie wzdłuż torów kolejowych i gazociągu jednocześnie. Na całej długości rurociągu wybudowano drogę technologiczną. Wydawało się nam, że będzie to bardzo dobry drogowskaz i że nie poświęcimy na jazdę zbyt wiele czasu. Błędne myślenie. Janusz nieco się od nas oddalił (zamarudziliśmy próbując zrobić kilka zdjęć ogarniającego nas stepu), a po kilku minutach widzimy UAZ'a podążającego jego śladem. Gdy dojeżdżamy do naszych przyjaciół panuje nerwowa atmosfera. W pościg za Defem wyruszyła bowiem grupa ochroniarzy gazociągu i panowie ci wdali się z Januszem w dyskusję chcąc go ukarać za naruszenie zakazu przebywania w rejonie rurociągu. Na szczęście udało się sytuację jakoś załagodzić, „grupa pościgowa” odstąpiła od wystawienia raportu i „sztrafu” (kary), a na dodatek zabrała nas do wioski i zorganizowała dla nas paliwo.

Niestety – sukces był połowiczny, bo cena paliwa znacznie odbiegała od rynkowej (zdecydowaliśmy się na zakup tylko po 40 dm³ na samochód), a na dodatek musiałem jeszcze chłopakom dać „do tapy” 1000 tengów. Łapówkarstwo w Kazachstanie kwitnie w najlepsze. W zamian ochroniarze wskazali jeszcze nam alternatywną drogę, na której nikt nas karami nękać nie powinien.

Warto jeszcze wspomnieć, jak wyglądała procedura tankowania. Właściciel jurty w ziemi ma zakopany ogromny zbiornik na paliwo. Ze zbiornika, przy pomocy wiadra i sznurka nabiera paliwo, by później przy pomocy kolejnego wiadra przerobionego na lejek i butelki typu PET przelewać „soljarkę” do naszych kanistrów. Czasochłonne, ale zabawne. Najważniejsze, że jest gdzie kupić paliwo, bo w żadnej z napotkanej później wiosek i miasteczek nie znaleźliśmy stacji paliw.

Cały dzień jedziemy wzdłuż torów kolejowych. Momentami mamy dość stepu. Nie mniej wybrana przez nas droga i tak jest dużo ciekawsza od asfaltowej magistrali. Co jakiś czas w końcu wjeżdżamy do wiosek podglądając przy okazji, jak lokalna ludność żyje.

Zanim dotarliśmy do Szalgar trafiliśmy na piaszczystą drogę. Odcinek kilkunastu km dał nam popalić. Większość trasy udało się przejechać bez większych kłopotów, nie mniej, z jednym wzniesieniem Dyskoteka nie dała sobie rady. Silnik na pierwszym biegu nie miał siły by ciągnąć do góry i auto stanęło, a właściwie utknęło w piasku. Auto udało mi się z piasku wygrzebać dopiero po upuszczeniu ciśnienia z opon. Na obniżonym ciśnieniu, mozolnie, pomalutku wyjechałem pod górę i dotarliśmy do Szalgar. Przed wjazdem do miasta musiałem jeszcze uzupełnić ciśnienie w kołach. Podczas tej czynności podjechał do nas policjant po cywilnemu i zaproponował pomoc. Zawiózł nas do czynnego o tej porze jeszcze sklepu a następnie wytłumaczył jak mamy wyjechać z miasta.

Droga na Embi i Aqtobe jest w nieco lepszym stanie niż poprzedni odcinek, więc mimo późnej pory przejechaliśmy jeszcze z 40 km zanim zatrzymaliśmy się na nocleg. A słońeczko dzisiaj, wg czasu lokalnego, zaszło gdzieś koło godziny 23.

Dzień siedemdziesiąty czwarty

13 czerwiec 2010

Zmarzliśmy dzisiaj w nocy. Ale cóż się dziwić – temperatura spadła do 21 stopni. Toż to prawie zima. Nie mniej, przyzwyczajeni do ponad 40-sto stopniowych upałów w nocy odczuliśmy znaczny spadek temperatury.

Budzi nas klakson Defendera. Janusz ma problemy z instalacją elektryczną i od rana próbuje sobie z nią poradzić. Dźwigienka uruchamiająca klakson jest tak zlokalizowana, że przy próbie demontażu deski rozdzielczej co rusz Janusz ją uruchamia. Dłuższą przerwę Beata wykorzystuje na przygotowanie kawy oraz – opalanie. Z całej tej sytuacji przynajmniej Ona jest zadowolona i wyciąga jakieś korzyści. Męczyła nas o opalanie już od dłuższego czasu. Ruszamy w drogę. Niestety kiepska ta droga. Kiedyś miejscami był nawet asfalt, ale teraz to chyba byłoby lepiej, gdyby w ogóle tej drogi nie było. Dosłownie dziura na dziurze. A mimo to ruch na drodze całkiem spory. Przemieszczamy się więc slalomem w tumanach kurzu. Samochody mamy oblepione pyłem. I tak sobie jadąc pomalutku mijamy wioskę za wioską. Monotonny dzień, monotonna jazda.

Minęliśmy Embę i dopiero między Oktiabrskiem a Algą zatrzymujemy się w przydrożnej knajpce na popas. Niestety od jakiegoś czasu jedziemy w jedno autko. Def znowu nam się zgubił. Albo się zatrzymał, albo skręcił nie w tą drogę co trzeba. Nie wiemy co z nim. Próbujemy go wywołać przez radio, ale bezskutecznie. Janusz ma talent do kamuflowania się. Jak nie chce być znaleziony, to na pewno nie będzie.

Beata zamówiła dla nas obiad. Każde dostało po drobiowym szaszłyku, a ja na dodatek jeszcze tradycyjny lagman. No i oczywiście kawa. Ta była już od jakiegoś czasu – rzekłbym – niezbędną i oczekiwaną. Po obiadku udaje mi się zadzwonić do rodziców i porozmawiać z Tomkiem. A chwilę po zakończeniu rozmowy udaje mi się wywołać załogę Defa, która po kilku minutach dołącza do nas.

Razem dojeżdżamy do Aqtobe (dawnego Aktiubińska), gdzie wpierw szukamy bankomatu, by chwilę później zatankować nasze samochody do pełna. Przejeżdżamy przez miasto kierując się już na ostatni punkt naszej podróży w Kazachstanie, na Uralsk. Aqtobe robi wrażenie zielonego i zadbanego miasta, nie mniej jest to nieciekawe przemysłowe miasto, w którym powstało wiele osiedli mieszkaniowych z „wielkiej płyty”.

A za miastem zaczyna się masakra dla naszych samochodów. Główna magistrala drogowa M52 jest w katastrofalnym stanie. Trudno znaleźć kawałek prostego asfaltu, większą część jadę poboczem, bo tam jakoś równiej. Na dziurach wykańczam po raz kolejny prawy przedni słupek. Jutro bezwzględnie muszę znaleźć spawacza, który podratuje mi tą część samochodu tak, bym mógł wrócić do Polski.

Docieramy do Kobdy, gdzie Janusz informuje nas, że zbyt długo nie może dzisiaj już jechać, nie ma bowiem w samochodzie oświetlenia. Nie udało mu się rano reanimować instalacji elektrycznej. Jest 21.30 a na dworze śliczne popołudnie. Jest jasno, słońce stoi jeszcze wysoko na niebie. Sowiecki czas. Zatrzymujemy się więc w małej knajpce i jemy szybką kolację. A po kolacji odjeżdżamy ze 30 km od miasta, skręcamy w step i udajemy się na spoczynek.

Dzień siedemdziesiąty piąty

14 czerwiec 2010

Wstajemy wczesnie, licząc, że dobra droga, którą jechaliśmy wczoraj wieczorem umożliwi nam szybki dojazd do Uralska, co z kolei umożliwiłoby załatwienie przynajmniej części formalności. Jest jednak jeszcze zła wiadomość. Defender nie ma prawie w ogóle już elektryki, rozładował się akumulator, a Janusz ma obawy czy na rozładowanym może cokolwiek robić. Decyduje się na jazdę tak, by podładować baterię. Ruszamy więc. Droga wygląda na całkiem nową. Mimo, że jest wąska, to jedzie się po niej „elegantcko”. Nasze Land Rover’y dawno nie przekraczały 100 km/h, a dzisiaj udało się to na prawie 200 km odcinku. Jedziemy prawie bez zakłóceń, nie licząc jednej kontroli policyjnej jakieś 30 km od miasta Uralsk. Policjanci doczepili się do Janusza, że jedzie bez świateł, ale dali się przekonać, że to nie brak chęci tylko problemy techniczne są przyczyną braku świateł.

Do Uralska wjeżdżamy starym, długim mostem, po którym przekraczamy rzekę Ural. I? I właśnie wróciliśmy do Europy, bowiem rzeka, będąca przedłużeniem pasma górskiego o tej samej nazwie, jest umowną granicą między Azją a Europą. Niestety, a może na szczęście miasto nie przypomina europejskich metropolii, zdecydowanie jest kazaskie. Pogoda zresztą również. Jest parnie i upalnie. Coś niebo zaciąga się chmurami, ale deszcz jeszcze nie pada. Za to z nas się pot leje strugami.

Pierwsze co robimy w Uralsku, to zostawiamy nasze samochody, bierzemy taksówkę i jedziemy szukać policji emigracyjnej (OWIR’u), bo mając na względzie nasze problemy w Ałma-Acie chcemy jednak uniknąć płacenia „strafu” (który mógłby nadszarpnąć i tak nadwątłony nasz budżet) za niedopełnienie obowiązku meldunkowego. Taksówkarz na szczęście dość dobrze zna miasto, bo mimo, że zaczął nie od tej komendy policji, to w sumie dowiózł nas na miejsce. A tutaj przykra niespodzianka. A właściwie – chyba można było to przewidzieć – jest przerwa obiadowa. Ruszamy więc z taksówkarzem na poszukiwanie rosyjskiego konsulatu, który może nas nieco przyblokować, od niego bowiem zależy kiedy otrzymamy rosyjskie wizy. Taksówkarz trafił „bez pudła”, nie mniej – w konsulacie kolejna przykra niespodzianka – w Rosji jest dzisiaj „prazdnik” (znaczy się święto państwowe), więc konsulat ma wolne, a pierwszy następny dzień urzędowania to środa. Dzisiaj mamy poniedziałek, więc przynajmniej do czwartku mamy wolny czas w Uralsku. Pytanie co my tutaj tyle czasu będziemy robić? Nie mam pojęcia. Wracamy do taksówki i robimy objazd hoteli. Trafienie mamy za trzecim razem – kwaterujemy w hotelu o wdzięcznej nazwie „Akżajyk”. Cena dość przystępna, ale warunki – ekstra klasa. To stary, po-sowiecki blok, z dawną organizacją. Obsługa od samego początku właściwie robi nam łaskę, że w ogóle się nami zajmuje. Na piętrach urzędują etażowe. A sam pokój – no rewelacja. Mamy salon większy od mojego mieszkania. Do tego przedpokój i sporą łazienkę. To że wszystkie sprzęty (może z wyjątkiem telewizora) pamiętają lata 70-te to nic. Klimat nie do pobicia. Jeszcze w takim miejscu nie nocowałem. Dlatego namawiam grupę na pozostanie w tym miejscu.

Po zakwaterowaniu wracamy do OWIR’u. Na szczęście już pracują i nawet nie ma żadnej kolejki. Przy pomocy oficera wypełniamy stosowne druki i po upływie niespełna godziny mamy załatwioną „registrację”. Przynajmniej jeden z obowiązków odfajkowaliśmy.

Jako, że po mieście poruszaliśmy się Dyskoteką (upchnięcie w niej czterech osób to nie lada wyzwanie, ale skoro Janusz nie ma nawet stopu to w mieście nie było wyjścia), odwoziłem przyjaciół do hotelu, a sam ruszyłem na poszukiwanie warsztatu ze sprzętem spawalniczym. Dach już „jęczy”. Mimo odciążenia bagażnika dachowego na dłuższą metę jazda, zwłaszcza po wertepach, nie jest możliwa. Znajduję za drugim podejściem warsztacik i po godzinie pracy przeplatanej z dyskusją na wszelkie możliwe tematy, mam ponownie „obsmarkany” przedni słupek. Mam nadzieję, że dojedziemy do Polski, gdzie zamierzam zafundować Dyskotece stosowny remont (właściwie nie mam wyboru, a jej i tak się to należy – samochód sprawuje się jak do tej pory właściwie bez zarzutów). Po spawaniu szukam warsztatu, gdzie będę mógł kupić i wymienić olej silnikowy. To ostatnie, co mi w tej chwili z przeglądu zostało. A że na liczniku jest już ponad 21 tyś. km to już tak naprawdę ostatni dzwonek. Wymiana oleju także trwała ponad godzinę – cała obsługa warsztatu asystowała w tej czynności, którą specjalnie dla Polaka wykonał sam właściciel. Ale cena była również „pańska”. Na koniec została tylko myjka, gdzie Dyskoteka nabrała nieco ogłady.

Po czynnościach serwisowych wracam do hotelu i wyciągam Beatę na krótki spacer po mieście i kolację.

Dzień siedemdziesiąty szósty

15 czerwiec 2010

Upał w nocy był bardzo męczący. Tak męczący, że z łóżek wstajemy dopiero po południu. Zgroza – ja się chyba starzeję. W końcu jednak się wybraliśmy i z Beatą (chłopaki jakoś nie reflektowały) ruszyliśmy na podbój Uralska. Niestety – nie jest to miasto, które ma dużo turystom do zaoferowania. Ot – zwykłe duże miasto. Spacerkiem przeszliśmy przez bazar, zobaczyliśmy XIX-wieczny murowany meczet, minęliśmy kilka skwerków z fontannami, zobaczyliśmy starą cerkiew, odwiedziliśmy bank i zjedliśmy lody. I tak właściwie można opisać nasz cały dzień. Do tego dwukrotnie odwiedziliśmy kafejkę internetową i zjedliśmy kolację w tej samej knajpce co wczoraj. Podobnie jak wczoraj, na barowym telebimie, oglądaliśmy mecz piłki nożnej – w RPA przecież są mistrzostwa świata w piłce nożnej (FIFA South Africa 2010), ale przez naszą podróż jakoś przeszło nam to mimo uszu. Wczoraj oglądaliśmy mecz Japonia – Kamerun, który zakończył się wynikiem 1:0, dzisiaj – Wybrzeże Kości Słoniowej zremisowało z Portugalią 0:0. Po meczu wróciliśmy do hotelu, gdzie zabrałem się za uzupełnianie materiałów podróżniczych.

O czym warto wspomnieć po wizycie w Uralsku. Wśród betonowej zabudowy można odnaleźć wiele uroczych, aczkolwiek już raczej w katastrofalnym stanie, drewnianych domków. Czasem stoją przy drodze, czasem między blokami, a czasem również wśród nowej zabudowy. To są prawdziwe perełki architektoniczne tego miasta, pamiętające pewnie jeszcze czasy bolszewików, które pomału ustępują miejsca nowej zabudowie i pewnie za kilka lat już żaden ślad po nich nie zostanie. A szkoda.

Warto również wspomnieć, że w Uralsku jest mnóstwo zieleni. Drzewa rosną nie tylko w parkach i skwerach, ale przede wszystkim przy ulicach i między blokami. Dzięki nim można odetchnąć w taki upalny dzień jak dzisiaj. A temperatury przekraczały 40 stopni.

Dzień siedemdziesiąty siódmy

16 czerwiec 2010

Dzisiejszy dzień musimy poświęcić na zdobycie wize rosyjskiej. Jest środa, a zgodnie z informacją otrzymaną w konsulacie wnioski przyjmowane są tylko w poniedziałki, środy i piątki. Jeśli nie udałoby się nam złożyć dzisiaj dokumentów i przyjęliby je dopiero w piątek to wize mielibyśmy najwcześniej na poniedziałek. A to – że tak powiem – dla nas już nie wchodzi w rachubę. Wstajemy więc wcześniej (w moim przypadku trudno mówić o wstawaniu skoro nie udało mi się przez całą noc zasnąć) i mając na względzie nasze poprzednie wizyty w konsulatach, chcemy zająć kolejkę. Na miejscu okazuje się, że po świątecznym poniedziałku jest całkiem sporo ludzi, ale nie jest jeszcze tragicznie. Konsulat zaczyna pracę od 9.30, a o 11.00 wchodzimy – ja i Beata – do środka. Tutaj rzecz jasna okazuje się, że wprawdzie mamy wszystkie dokumenty ok., a opłata wynosi 70 Euro od osoby, ale przyjmowana jest wyłącznie w lokalnych tengach. Opuszczamy konsulat i w błyskawicznym tempie poszukujemy bankomatu. Po 30 min jesteśmy z powrotem, na kilka minut przed przerwą obiadową. Płacimy i wychodzimy z informacją, że jutro przed godziną 12.00 wize powinny być do odbioru.

Jako, że chłopcy nie poszli już z nami po raz drugi do konsulatu, wybrali się bowiem na poszukiwanie nowego hotelu – stary bowiem nie spełniał oczekiwań Ryśka, tylko z Beatą wybraliśmy się na późne śniadanie. W pierwszym napotkanym barze kupujemy po hamburgerze (tak dla odmiany, chociaż lokalne hamburgery w niczym nie przypominają naszych – jest to słodka bułka z mięsem z kurczaka w środku) i po małej kawie. Potem krótkim spacerem wybieramy się na zakupy na bazar. Ja lubię klimat takich. Znajduję bardzo fajne samowary, opalane drewnem, ale cena jest nieco za wysoka i rezygnuję z zakupu. Poza tym nie mam pewności, czy tak wielka pamiątka spotkałaby się z uznaniem moich bliskich. Muszę się z problemem przespać. Za to wizyty przy saturatorze nie mogłem odpuścić, żałuję tylko, że nie miałem ze sobą aparatu. Może jutro to jeszcze nadrobię.

Wracamy do hotelu – po ciężkiej nocy ledwo powłóczę nogami i marzę o prysznicu i krótkiej drzemce. A na miejscu niespodzianka – w hotelu (a wg etażowej – także w całym mieście) jest dzisiaj przerwa w dostawie wody. Z kąpeli więc nici, ale drzemkę w oczekiwaniu na wodę udaje mi się skutecznie.

Po krótkiej drzemce bierzemy kąpiel, bo w międzyczasie woda się pojawiła, a następnie odwiedzamy Janusza w nowej kwaterze. Coś tam chyba między nimi zgrzytnęło, bo dzisiejsze miejsce noclegowe mają zdecydowanie niższego standardu niż poprzednie. Ja z Beatą zostaliśmy w naszym wielkim salonie.

Wieczorem odwiedziliśmy dwie knajpki, w tym naszą ulubioną, gdzie obejrzelśmy kolejny mecz. Tym razem Hiszpania uległa Szwajcarii po bardzo fajnym meczu 0:1.

Dzień siedemdziesiąty ósmy

17 czerwiec 2010

Dzisiaj wstaję wypoczęty. Mimo, że noc znowu była gorąca, to jednak zmęczenie, a także wieczorne wino, zrobiły swoje. Spałem jak zabity. Budzi nas Janusz z pytaniem, czy mam kable rozruchowe – w jego Defie w dalszym ciągu występują problemy z instalacją elektryczną, w efekcie czego rozładowały mu się akumulatory. Zbieram się bystro i przy pomocy mojej Dyskoteki odpalamy Defa.

Przed wyruszeniem do konsulatu robimy sobie jeszcze krótki spacer po Uralsku. Śniadanko jemy w knajpce przypominającej nasze bary z początku lat 80-tych. Jedyna różnica w wystroju to telewizor. Pozostałe wyposażenie jakby nie z tej epoki. Miejsce fajne, a na dodatek całkiem smaczne jedzenie. Tym razem na śniadanie zafundowano nam kartoflanę.

Wracamy do hotelu po samochody i jedziemy do konsulatu. A tu niespodzianka – nasze wizy są już gotowe. Zadowoleni sprawdzamy jeszcze tylko w holu, czy aby wszystko jest poprawnie wypisane, gdy podchodzi do nas chłopak z zapytaniem, czy może ściągnąć kolegę – dziennikarza, który zrobiłby z nami wywiad dla lokalnej gazety. Dlaczego nie – odpowiedzieliśmy i po 15 min rozmawiamy już z młodym dziennikarzem lokalnej gazety.

Byłem dumny z siebie, bo udzieliłem wywiadu w języku rosyjskim i tylko raz tak naprawdę nie wiedziałem co powiedzieć. Przypuszczam, że mój rosyjski w dalszym ciągu jest bardzo kiepski, nie mniej – mówię dużo pewniej i odważniej, niż przed wyjazdem. Coś w tym powiedzeniu jest, że podróże kształcą.

Jako, że nasze wizy rosyjskie są dość krótkie, a na dodatek ważne dopiero od jutra, to plan mamy następujący – jedziemy w kierunku granicy, kierując się na rosyjski Saratow, aby gdzieś w odległości 30-40 km od przejścia zatrzymać się na polance na ostatni w Kazachstanie biwak. Tam planujemy zrobić drobne prace przy samochodach (ja np. muszę upuścić nieco oleju z silnika, bo przelano mi go przy wymianie, a także uzupełnić olej w kulach), planujemy również zrobić nieco porządków. Trzeba się już jakoś przepakować, wypadaloby również troszkę w samochodach posprzątać. Kolejne dni będą dość intensywne – wg informacji z konsulatu wiza tranzytowa wydawana jest dla samochodów przy założeniu pokonywania 500 km dziennie. Nam udało się wyprosić jeszcze jeden dodatkowy dzień, nie mniej – jeśli chcemy cokolwiek jeszcze w Rosji zobaczyć to musimy się sprężyć, zwłaszcza, że nie wiemy ile czasu spędzimy jutro na przejściu granicznym. Z tego powodu niezbędna jest chwila relaksu.

Wyjeżdżamy więc z Uralska i po przejechaniu ok. 40 km zaczynamy rozglądać się za jakimś miejscem na biwak. Podczas jednego z takich postojów gwałtownie skacze mi temperatura wody chłodzącej silnik i wyrywa mi bezpiecznik z chłodnicy. Uciekając przed fontanną gorącej wody tryskającej z mojego silnika o mało nie wpadłem pod nadjeżdżający samochód. Na szczęście usterka związana była tylko z zawieszeniem termostatu i nie spowodowała żadnych dodatkowych zniszczeń, więc po 10 min jesteśmy gotowi do dalszej jazdy. W miasteczku Kamienka robimy ostatnie zakupy, tankujemy również nasze samochody wydając pieniądze niemalże do ostatniego tenga (a przy okazji – przy nas na stacji tankowała Fadroma wyprodukowana w Hucie Stalowa Wola – polski akcent), a kilka km za miasteczkiem zatrzymujemy się w małym zagajniku między linią kolejową a lokalnym gazociągiem.

Dzień siedemdziesiąty dziewiąty

18 czerwiec 2010

Dzisiaj czeka nas przekroczenie granicy kazasko – rosyjskiej. Jesteśmy wypoczęci i przygotowani na walkę z celnikami. Docieramy do części kazaskiej granicy, gdzie spotykamy polskich kierowców TIR-ów. Od nich dowiadujemy się, że niektórzy stoją na tym przejściu po kilka dni. Wiadomości przednie – nie powiem. Ale co zrobić? Nie cofniemy się przecież na przejście w kierunku Samary, bo pewnie tam jest podobnie, a poza tym – nadłożylibyśmy z 600 km, co przy krótkich terminach naszych wiz nie byłoby najrozsądniejsze. Zdecydowaliśmy wcześniej, że przekraczamy tutaj granicę, więc tak robimy. Pod szlaban podjeżdżamy ok. godz. 8.30. Przy szlabanie stoi tablica, z której wynika, że przejście pracuje w trybie całodobowym (nie dogadałem się wczoraj z żołnierzem jak widać), ale między 9.00 a 10.00 jest tutaj przerwa technologiczna. Mamy więc pół godziny do przerwy, ale żołnierz przy szlabanie już informuje, że nic z tego, że wpuści nas dopiero po zmianie pracowników (czyli za jakieś półtora godziny). Janusz przy użyciu 1000 tengów załatwia sprawę i wjeżdżamy. Ale z celnikami wcale nie jest lepiej. Po wypełnieniu deklaracji, mimo dobrego czasu, zamykają okienko i każą czekać na następną zmianę. Czyżby to była sugestia, że czeka nas długa kontrola i oni już nie chcą się w to bawić? Czas pokaże.

W międzyczasie podchodzi do nas dwóch chłopaków. Kajman i Sambor. Cóż za spotkanie. Podróżnicy, których miałem przyjemność poznać na Biesowisku u Elwood'a. Jak widać świat jest bardzo mały. Mamy ponad godzinę – oni również czekają. Wiozą transport motocykli dla grupy polskich turystów do Ałma-Aty. Tyle, że coś celnikom nie gra, bo oni czekają na odprawę już drugi dzień. Gdy my opuszczaliśmy przejście, oni dostali chyba niezbyt pomyślne wiadomości, bo byli już mocno podenerwowani. Jak im poszło – dowiemy się pewnie po powrocie do domu.

Wjeżdżamy na rosyjską część przejścia. Od razu w oczy rzucają się dysproporcje między sąsiednimi krajami. Terminal rosyjski jest zdecydowanie nowszy, lepiej wyposażony i przygotowany do sprawniejszej odprawy większej ilości pojazdów. Co wcale nie znaczy, że tak działa. Po półgodzinnym oczekiwaniu przed szlabanem wjazdowym zostajemy wpuszczeni na teren terminala. Odprawa graniczna poszła bez problemów, jeszcze „udzieliliśmy” wywiadu służbom sanitarnym i podjechaliśmy do celników. No i tutaj się zaczęło. Pierwsze – wypełnienie znanych nam deklaracji celnych nie poszło tak gładko jak na innych rosyjskich przejściach. Oficerom bez przerwy coś nie pasowało – a to źle wpisany numer polisy, a to brak nr rejestracyjnego, a to brak waluty przy kwotach wartości wpisanych do deklaracji pozycji. Poprawiałem deklarację ze 3 razy. W międzyczasie zawiesił się system komputerowy, co spowodowało kolejne pół godziny oczekiwania. Gdy już formalnościom stało się za dość przyszedł czas na przegląd naszych bagaży. Musieliśmy wyciągnąć z samochodu niemalże wszystko na chodnik, darowano nam jedynie skrzynie dachowe, po czym Dyskoteka (a później również Defender) pojechała na zdjęcia rentgenowskie. Cała zabawa na rosyjskim przejściu trwała dobre 2 godziny. Dawno nas nikt tak nie przetrzepał, chociaż nie można powiedzieć – wszystko przebiegało w przyjaznej atmosferze – tylko skąd wynika tak skrupulatne przestrzeganie procedur – nie mamy pojęcia.

Wjeżdżamy do Rosji. Kierujemy się na Saratow. Początkowo droga jest raczej kiepska, podobna do tych asfaltowych, które widzieliśmy w Kazachstanie. Później – jest zdecydowanie lepiej, możemy nawet nieco przyspieszyć. Takie przyspieszanie skończyło się zarejestrowaniem moich wyczynów przez kamerę milicyjną. Zostałem więc zatrzymany do kontroli, gdzie sympatyczny gliniarz pokazał mi moje wykroczenie i określił wysokość mandatu na 300 rubli (równowartość 30 zł za przekroczenie o ponad 20 km/h). Niestety – jeszcze nie udało mi się pozyskać rubli, więc musiałem dać parę dolarów. Dalsza droga do Saratowa minęła bez większych przygód.

Dojeżdżamy do aglomeracji. Pierwsze co to na jakieś 20 km przed centrum przekraczamy Wołgę. Ta ogromna, majestatyczna rzeka, leniwie toczy swoje wody. Rozlewisko tutaj jest bardzo szerokie, most po którym jedziemy ma pewnie ze 2 km długości, a może nawet lepiej.

Wjeżdżamy do miasta. To kolejne ogromne rosyjskie miasto. Liczba jego mieszkańców przekracza milion. Kierujemy się na ścisłe centrum. Raz – liczymy, że znajdziemy jeszcze jakiś czynny bank bądź kantor i pozyskamy trochę rubli, dwa – przydałby się jakiś posiłek i kawa, a trzy – potrzebujemy odrobiny relaksu po tym męczącym dniu. Spacerem docieramy do prospektu Kirowa, którym wybieramy się w kierunku Wołgi. Prospekt jest idealnym miejscem do obserwacji towarzyskiego życia miasta. Tutaj znajduje się mnóstwo lokali i sklepów, które tętnią życiem. Na ulicy ruch jakby nie zamierał, a wystarczy tylko skręcić w którąś z przecznicy i od razu jest cisza i spokój.

Mijamy mały park, zwany ogrodem Lipki, i niedługo potem docieramy do nabrzeża rzeki. Wzdłuż Wołgi biegnie ulica Nabrzeże Kosmonautów, którą docieramy do pomnika bohatera tego miasta – Jurija Gagarina. Ten pierwszy na świecie człowiek w kosmosie mieszkał tutaj, studiował, a także w pobliżu Saratowa wylądował po pierwszym locie kosmicznym.

Wracamy do samochodów i ruszamy w kierunku Wołgogradu. Niestety – wydostanie się z miasta nie jest proste. Dzisiaj jest piątek, jest późne popołudnie, więc utykamy w ogromnym korku pojazdów, które chcą na weekend wydostać się z miasta. Inna sprawa, że oznakowanie jest szczytkowe, więc parokrotnie gubimy drogę. Nawet nasze GPS'y są bezsilne. W końcu, po wielu próbach, udaje się nam wydostać z miasta na główną drogę, którą jedziemy na południe do późnego wieczora.

Zatrzymujemy się w lesie, w pobliżu rzeki i zostajemy na noc.

Dzień osiemdziesiąty

19 czerwiec 2010

Pobudkę zafundował nam Def. Jak się poniosłem z mojego legowiska to ujrzałem tył odjeżdżającego auta i chmurę czarnego dymu. Chyba Janusz i Rysiek się na nas pogniewali i sobie bez nas pojechali nie wiadomo gdzie. Cóż było zrobić? Wstaliśmy i szybko zaczęliśmy się zbierać. Podczas porannej toalety Beata zauważyła kartkę za wycieraczką przedniej szyby – kartka była wprawdzie nieczytelna, ale drogą dedukcji doszliśmy do tego, że Janusz chyba miał jakiś defekt w samochodzie i wyjechał na główną drogę by usterkę usunąć. Ruszyliśmy więc za nim, ale i na głównej drodze go nie znaleźliśmy. Po przejechaniu kilkunastu km stwierdziliśmy, że pewnie obraził się na dobre, więc zjechaliśmy z szosy na pierwszy parking z „kafé” i zatrzymaliśmy się na śniadanko. Dostaliśmy jajka sadzone i pyszny świeży chleb. A do tego normalną tutaj, rozpuszczalną kawę.

Ruszyliśmy w dalszą drogę. Po przejechaniu kolejnego odcinka zauważyliśmy Defa stojącego w asyście dwóch Nissanów – jednego Patrola i jednego NP300 (pick-up’a). Zatrzymujemy się i w ten sposób poznajemy ekipę pięciorga poznaniaków, którzy właśnie wyruszyli w drogę do Mongolii. Wprawdzie ich trasa w znaczący sposób różni się od naszej, nie mniej przekazaliśmy im całą naszą wiedzę. Może im się przyda. Po miłym spotkaniu każda grupa ruszyła w swoją stronę. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że Janusz złapał „kacicia” i pojechał szukać wulkanizatora.

Przed Wołgogradem ponownie się rozdzielamy. Janusz z Ryśkiem rezygnują z wjazdu do miasta, ze względu na stan Defa wolą powoli jechać już w kierunku Rostowa nad Donem. My z kolei nie chcąc rezygnować z wizyty w mieście z taką historią decydujemy się na pozostanie tutaj. Wjeżdżamy więc do Wołgogradu. Jest to rozległe przemysłowe miasto, zamieszkałe przez ponad milion mieszkańców. Turystycznie może nie oferuje zbyt wiele, nie mniej swego czasu odegrało olbrzymią rolę w historii.

Wołgograd bowiem, zwany dawniej Stalingradem, był miejscem, gdzie toczyła się największa bitwa w historii. W 1942 r. tutaj starły się dwie potężne armie – hitlerowska i czerwona – zostawiając za sobą dosłownie „morze krwi”. Wg szacunków w tym miejscu mogło zginąć 1-1,5 miliona osób. Niewyobrażalne. W miejscu zwanym Kurhanem Mamaja postawiono olbrzymią, wręcz monstualnie wielką statuę Matki Rosji. Statua jest jednym z największych pomników na świecie, postać ma ok. 72 m wysokości, a w dodatku trzyma w ręce miecz wznoszący się kolejne 11 m. W okolicach znajduje się dodatkowo mnóstwo pamiątkowych tablic poświęconych bohaterom tamtych dni. U stóp pomnika powstała również swoista „izba pamięci” – rotunda, na ścianach której wypisano nazwiska ułamka poległych. Tutaj również płonie „wieczny płomień”, a także wystawiona jest warta honorowa. Cały kompleks ma postać parku z mnóstwem zieleni, toteż w takim ładnym dniu jak dzisiejszy jest tutaj mnóstwo mieszkańców oraz turystów. Dodatkowo – jako że dzisiaj jest sobota – spotykamy kilkanaście „młodych par”, które przyjechały tutaj na sesje fotograficzne.

Odwiedzamy również centrum miasta. Samochód zostawiamy przy budynku poczty głównej i spacerkiem zieloną Aleją Bohaterów wybieramy się w kierunku rzeki Wołgi. Nad rzeką mamy nadzieję znaleźć jakąś kawiarenkę – kawa pilnie pożądana. Niestety – większość lokali przy rzece jest dzisiaj zarezerwowana na potrzeby wesel, więc – chcąc nie chcąc – musimy zrezygnować z kawy. Ruszamy więc wzdłuż wybrzeża, kierując się na Muzeum Bitwy Stalingradzkiej.

Będąc tutaj chcemy „liznąć” nieco historii. Zanim jednak dotarliśmy do muzeum udało się nam znaleźć położoną na uboczu knajpkę, gdzie zjedliśmy przepyszną rybę (a był to sum, prosto z Wołgi) zagryzając ją świeżym chlebem. A po obiadku dostaliśmy espresso – napój, który po raz pierwszy od wielu dni przypominał prawdziwą kawę.

Kompleks Muzeum Bitwy Stalingradzkiej składa się z rotundy, w której mieści się muzeum, pozostawionych po wojnie ruin starego młyna (które to raz – mają przypominać tragiczną historię, a dwa – pokazać, jak bardzo zniszczone było to miasto), a także estakady, na której eksponowane są samoloty i pojazdy wojskowe. W samym muzeum zebrano wiele pamiątek z tamtych dni – przede wszystkim uzbrojenia i żołnierskiego wyposażenia, ale także mnóstwo fotografii, obrazów, dokumentów. Najciekawszą częścią muzeum jest obraz – panorama, znajdująca się na trzecim piętrze obiektu, a przedstawiająca wydarzenia tamtych dni.

Po wizycie w muzeum, spacerkiem prospektem Lenina, a także ulicami Port-Said i Mira docieramy do samochodu i próbujemy opuścić to wielkie miasto kierując się na Rostów nad Donem. Próbujemy – to właściwe słowo, bo to ogromne miasto ma niezwykle skromne oznakowanie i kilkakrotnie gubimy drogę. Niestety – nie mamy takiego ułatwienia jak plan miasta w GPS-ie. Ba – nie mamy nawet papierowego planu, więc działamy nieco po omacku. W końcu przy pomocy milicji i kilkorga z mieszkańców miasta udaje się nam wyjechać na trasę. Do pokonania mamy ponad 400 km, a jest już dobrze po 19.00 czasu lokalnego. Mamy koordynaty GPS na miejsce, gdzie zatrzymali się chłopaki z Defa, pozostaje więc tylko tam dotrzeć. Po kilku godzinach jazdy (po północy) docieramy do lasu, w którym znajdujemy Defa. Załoga już śpi, więc i my udajemy się na spoczynek, biorąc jeszcze szybką kąpiel z 5-cio litrowego baniaczka.

Dzień osiemdziesiąty pierwszy

20 czerwiec 2010

Niedzielnny poranek. Budzimy się, ponieważ wiatr kołysze naszym samochodem. Dzisiaj możemy podziwiać urok zagajnika, jaki Janusz wybrał na nocleg. Dość spokojne miejsce, biorąc pod uwagę lokalizację. Od głównej drogi zjechaliśmy bowiem raptem nieco ponad kilometr, więc hałas przejeżdżających pojazdów do nas dociera. A główna droga M4, łącząca Moskwę m.in. z Rostowem nad Donem, jest jednak bardzo ruchliwa. Dodatkowo noc uprzykrzały nam samoloty podążające w kierunku rostowskiego lotniska. Ale dość marudzenia. Rankiem zastanawiamy się, co dalej. Już wczoraj zrezygnowaliśmy z wizyty w Rostowie, bojąc się wczorajszej powtórki z Wołgogradu, gdzie podczas próby wyjazdu zmitrężyliśmy prawie 2 godz. Dojeżdżamy tylko do granic miasta i taką pseudo-obwodnicą kierujemy się na Taganrog – miasto i port nad małym morzem Azowskim, przez które wiedzie droga do przejścia granicznego z Ukrainą. Mamy tylko nadzieję, że przejście w Niedzielę będzie pracowało.

Przed Taganrogiem zatrzymuje nas patrol DPS (milicja drogowa) i skrupulatnie sprawdzają nam dokumenty. A jako, że zatrzymano nas przy parkingu z kafejkami, to po kontroli dokumentów zostaliśmy na kawie. Dzisiejszy „czarny napój” zdecydowanie bardziej przypadł nam do gustu, więc każde z nas decyduje się na drugą filiżankę. Około godz. 12.30 czasu lokalnego stawiamy się na przejściu. Tutaj stoi już „ogonek” pojazdów, więc wypada nam grzecznie stać razem z nimi i czekać na naszą kolej. Do momentu, kiedy przejechaliśmy pod szlabanem musieliśmy odczekać prawie godzinę. Ale nic dziwnego – co rusz ktoś został wpuszczany bez kolejki. A szarzy obywatele czekają. Przekroczenie granicy rosyjskiej to tylko podbicie deklaracji celnej i paszportów. A skoro tak szybko poszła sama odprawa, to tak naprawdę nie mam pojęcia, co celnikom tak dużo czasu zabiera. Między przejściami również utknęliśmy w kolejnym ogonku. Tutaj tempo przesuwania się pojazdów jest jeszcze wolniejsze. I ruch „bezkolejkowy” również tutaj obowiązuje – jesteśmy świadkami, jak rosyjski radiowóz podprowadził Range Rover’a na ruskich blachach i jemu załatwił przejazd bez kolejki. Normalne, jak mówi Janusz. Załatwiamy w końcu i ukraińską część formalności (co wiąże się z kolejną łapówką) i wjeżdżamy na teren Ukrainy. Zaraz za szlabanem wymieniamy trochę dolarów na hrywny i odpoczywamy przy obiadku i kawie. Niestety – wraz ze zbliżaniem się do Europy ceny robią się również europejskie. Możemy już zapomnieć o stołowaniu się za 2-3 dolary.

Jedziemy wzdłuż wybrzeża morza Azowskiego. Mijamy kolejne miejscowości i docieramy do Mariupola. To duże miasto, z wielką hutą stali, mijamy niemalże bez zatrzymania (jeśli nie liczyć chwili poświęconej na zrobienie zakupów) kierując się na Odessę. Utrzymanie kierunku nie jest łatwe, bo oznakowanie jest raczej przeciętne. Podobnie jak w Rosji, w ukraińskich miastach tablice drogowskazowe są wielkości tablic z nazwami ulic i dostrzeżenie ich wśród drzew jest całkiem sporym wyzwaniem. Odjeżdżamy od miasta i po gdzieś po półgodzinnej jeździe opuszczamy główną trasę i jedziemy zobaczyć to „ogromne” morze. Ten niewielki akwen odbiera wody od rosyjskiego Donu, a przez przesmyk Kerczeński połączony jest z morzem Czarnym. W miejscu, do którego dotarliśmy, brzeg ma charakter klifowy, piaszczysty. Niestety woda o zabarwieniu brązowym nie zachęca do kąpieli. Jako, że pora jest jeszcze młoda, a dzień o tej porze roku jest dość długi, decydujemy się na kontynuowanie jazdy. Mijamy jeszcze jedno duże miasto – Melitopol i wczesnym wieczorem docieramy w rejon Dniepru. Ponownie opuszczamy główną drogę, by na polach, pośród niewielkiej dębiny zatrzymać się na nocleg.

Dzień osiemdziesiąty drugi

21 czerwiec 2010

W nocy kilkakrotnie budzi mnie ulewa. Nie wpadłem jednak na to, że Beata mogła zostawić niezłożone graty na dachu, więc rano mamy mokry fotelik, ale także moje spodenki, które zostawiłem do „wietrzenia”. Nie wspomnę już o mokrych butach. Cóż – za głupotę trzeba płacić. Wyjazd z miejsca noclegowego też był wyzwaniem – gruntowa droga nabrała wody i jazda po tej nawierzchni przypominała poruszanie się po lodzie. Na szczęście do przejechania mieliśmy krótki odcinek, więc po paru minutach jesteśmy na szosie i kierujemy się już na Odessę, do której zostało nam ponad 200 km. Jedziemy główną drogą M14, której nawierzchnia od czasu do czasu pozwala na poruszanie się z całkiem przyzwoitą prędkością. Inna sprawa, że co parę km mijamy ekipy drogowców, którzy zajmują się odtwarzaniem nawierzchni tej drogi. Z małą przerwą na śniadanie, na które serwowano nam Beliasz (czyli coś w rodzaju pączka z nadzieniem z mielonego mięsa) oraz kawę w plastikowych kubeczkach, cały czas jedziemy w kierunku słynnego czarnomorskiego portu. Do Odessy docieramy ok. 14.00. Zostawiamy samochody w centrum, a Janusz i Beata ruszają na poszukiwanie zakwaterowania. Po ponad 2 godzinach wraca Beata z informacją, że mają kwaterę. Jest to hotel Witeź przy ulicy Szewczenki (w przewodniku Pascala opisany jako „ostateczność” w Odessie). Jako, że dzień był gorący, przed wyruszeniem do miasta wypadałoby się nieco odświeżyć, co mając takie warunki, od razu czynimy.

Taksówką jedziemy do samego portu, taksówkarz wysadził nas przy samych słynnych schodach Potiomkina, po pokonaniu których mamy panoramę na port i nowy hotel „Odessa”. U szczytu schodów zaczyna się „Primorski Bulwar”, w centrum którego stoi pomnik księcia Richelieu – pierwszego gubernatora Odessy. Bulwarem docieram do pałacu Woroncowa, skąd można podziwiać port w pełnej krasie. Następnie wąskimi uliczkami pełnych samochodów (niestety Odessa nie ma wydzielonych stref dla pieszych) spaceruję sobie zaglądając w różne zaułki i podwórka. Tak docieram do ulicy Riszeljewskiej u szczytu której podziwiam piękny budynek opery. Spacerując kolejnymi ulicami i prospektami podziwiam kolejne pałace, kamienice i inne budowle. Mijam m.in. pałac Gagarina, klub Angielski i Muzeum Archeologiczne. Spacerkiem docieram do Greckiego Majdanu, który wraz z ulicą Deribasowską stanowi swoiste centrum Odessy. Tutaj znajdują się restauracje, kawiarnie, kluby, a także mnóstwo kramów i artystów wszelkiej maści. Takie kulturalno – kulinarne centrum miasta. Tutaj udaje mi się skosztować wybitnie nie ukraiński posiłek, po którym spacerkiem wróciłem do hotelu. Na zakończenie dnia, przy samym hotelu wstąpiłem do perskiego baru, gdzie zjadłem fantastyczny kebab. Jakie wrażenie robi to miasto? Mimo, że miasto jest stosunkowo młode, liczy raptem nieco ponad 200 lat, to dzięki swojej bogatej historii a także dogodnemu położeniu bardzo szybko się rozwinęło. Widać to przede wszystkim w architekturze pałaców i kamienic zamieszkiwanych niegdyś przez możnych tego miasta. Dzisiaj również daje się zauważyć bogactwo tego czarnomorskiego portu, stojące w dużym kontraście z pozostałymi miastami i regionami Ukrainy. Drogie limuzyny, markowe butiki, ekskluzywne restauracje i hotele – to widać na każdym kroku. Miasto również tonie w zieleni. Na każdej ulicy czy skwerku rosną drzewa, również jest dużo kwiatów. I widać, że miasto dba o swój wizerunek. Mimo, że nie jest tu tak czysto jak np. w Taszkencie, to i tutaj służby miejskie bardzo sprawnie działają. A na wieczorny deser – telewizja ukraińska transmitowała mecz Hiszpania – Honduras. Jak można się było spodziewać, mecz zakończył się zwycięstwem pierwszej drużyny z wynikiem 2:0.

Dzień osiemdziesiąty trzeci

22 czerwiec 2010

Wstajemy wcześnie, by móc jeszcze przed ruszeniem w dalszą drogę wybrać się na spacer po Odessie. Poranek zaczynamy z Beatą (Janusz z Ryśkiem opracowali własny program) od wizyty w tym lokalu, gdzie wczoraj wieczorem ja się stołowałem. Wprawdzie w nocy mieli chyba włamanie, bo jedna z szyb leżała rozbita w drobne kawałki, nie mniej pracowali od rana, więc na śniadanie mieliśmy ponownie kebab.

Zanim ruszyliśmy razem z Beatą na spacer po mieście, ja wybrałem się na wczesną wizytę w dzielnicy Arkadia, a także na krótki wypad nad morze. Arkadia, której centralnym punktem jest bulwar Francuski, to miejsce gdzie skupione są sanatoria i wczasowiska. Dzielnica tonie w zieleni, jest tutaj spokojnie, życie toczy się innym tempem niż w centrum. Niestety – miejsce to jest bardzo zapuszczone, z każdego zaułka wзира ogromna bieda. To miejsce przypomina bardziej tę Ukrainę, którą my znamy. Chociaż i tutaj widoczne są ogromne kontrasty – z jednej strony ludzie, którzy podnoszą z ziemi resztki jedzenia i wody w butelce, z drugiej – Brabusy czy Bentley'e. Wracając jednak do Arkadii – pełno tutaj uroczych (choć zaniedbanych) miejsc, takich jak np. kompleks sanatoryjny „Arkadia”, gdzie wśród parkowej zieleni można znaleźć kilka ładnych pałacików, sporo rzeźb czy nieczynnych fontann.

Po śniadaniu ruszyliśmy na poranny spacer. Przeszliśmy przez park „Kulikowe Pole”, miniliśmy dworzec, a potem ulicami Puszkina i Bazarną dotarliśmy do parku „Staro-bazarnyj”. Później przeszliśmy prospektem Oleksandrowskim do Greckiego Majdanu. A później wróciliśmy spacerem do hotelu. Blisko trzygodzinny przedpołudniowy spacer po Odessie. Szkoda tylko, że tak krótko i w takim pośpiechu. Miasto już trafiło na listę miejsc, które w przyszłości należałoby odwiedzić.

Janusz wyjechał wcześniej, widzieliśmy Defa, gdy spacerem wracaliśmy do hotelu. My – może z godzinkę po nim. Z Odessy kierujemy się główną drogą na Kijów – to właściwie główna droga wyjazdowa z miasta w większości głównych kierunków. Przez dłuższy czas droga prowadzi wzdłuż mołdawskiej granicy, która korci nas możliwością odwiedzenia Kiszyniowa. Ale taką wycieczkę zostawimy może na następną podróż. Teraz trzeba już wracać do domu, do pracy. Czasu mamy nie wiele.

Droga wyjazdowa zaskakuje nas. Jest to dwujezdniowa, czasem nawet sześciopasmowa droga, na której można podróżować z dużą prędkością. Dyskoteka miejscami rozpędza się nawet do 110 km/h. Niewiarygodne, że po tylu przygodach auto jeszcze to potrafi. Po drodze raz zatrzymujemy się na kawę. Niestety – nasz ograniczony budżet w lokalu, który wybrała Beata, pozwolił tylko na dwie kawy. Ale lokal – ekstra klasa. Wysokobudżetowy. Jedyne co nas zaskakuje to świeża trawa rozłożona w całym lokalu na drewnianej podłodze. Tutaj ja kontaktuję się również z bliskimi w Polsce informując, że już niedługo się zobaczymy. Chwilę później spotykamy się z załogą Defa, która jak się okazało dziwnym trafem jedzie za nami. Uzgadniamy plan dalszego działania – Beata chce zobaczyć Humań (Uman) z jego słynnym parkiem „Zofiówka” (co wymaga pozostania w miasteczku na nocleg), Janusz z kolei chce pomału jechać w kierunku domu. Stan techniczny Defa wymaga spokojnej, powolnej jazdy. W miasteczku rozdzielamy się – Def jedzie dalej. My – zostajemy

Humań to stare i zapomniane miasto o burzliwej przeszłości. Miejsce, które „złote czasy” dawno ma za sobą, czasy, o których przypominają okazałe budowle. Zatrzymujemy się w jednym z dwóch hoteli w miasteczku. Nasz wybór pada na hotel „Uman”. Jest to obiekt pamiętający lata 50-te. Jedyne nowe wyposażenie w naszym pokoju to telewizor. Cała reszta – to archaiczne, aczkolwiek czyste i zadbane wyposażenie. Ma to oczywiście swój urok, który powoduje, że zdecydowaliśmy się na pozostanie w tym miejscu.

Po zameldowaniu ruszamy na krótki spacer po mieście. Spacerując w kierunku dzielnicy żydowskiej mijamy okazałe budynki dwóch starych hoteli – Londyn i Bristol. Dzisiaj to prawie ruiny, przez wiele lat wewnątrz mieściły się bowiem fabryki odzieży. Teraz są opuszczone. Kawątek dalej odwiedzamy cerkiew klasztoru bazylińskiego. A później wiejskimi (tak – właśnie wiejskimi) uliczkami, w asyście ujadających psów docieramy do dzielnicy chasydów. To specyficzne miejsce. Dominuje tutaj sowiecka betonowa architektura ozdobiona hebrajskimi napisami. Jedyne informacje po rosyjsku znajdujemy w sklepach – tutaj napisy informują, że sklepy sprzedają wyłącznie kosztowną żywność. Wszystkie pozostałe opisy są po hebrajsku. Od czasu do czasu mijamy tradycyjnie ubranych mężczyzn – chasydów. Docieramy do odbudowanego budynku mogiły rabina Nachmana z Braclawia, niestety – nie mamy szczęścia odwiedzić tego miejsca wewnątrz. Z dzielnicy żydowskiej przegonił nas rzęsy deszcz. Spacerem ulicami Puszkina i Sadową wróciliśmy do centrum, podziwiając stare budynki, wybudowane z czerwonej cegły.

Zmęczeni i głodni wybieramy się do lokalnego baru, a właściwie pizzerii, gdzie pochłaniamy dwie znakomite pizze. Najedzeni wracamy do hotelu. Na zasłużony odpoczynek.

A na jutro zostawiamy sobie słynną „Zofiówkę”. Jest to park, ufundowany przez słynnego polskiego zdrajcę – Szczęsnego Potockiego, dla żony Zofii.

Biomed nam dzisiaj nie sprzyja, więc mimo zmęczenia nie możemy zasnąć. W związku z czym włączamy telewizor i oglądamy mecz Argentyna – Grecja, zakończony zwycięstwem amerykańskiej drużyny 2:0. Podczas tej podróży obejrzałem więcej piłkarskich pojedynków, niż przez ostatnie 10 lat. Jeszcze zrobi się ze mnie fan futbolu.

Dzień osiemdziesiąty czwarty

23 czerwiec 2010

Poranek wita nas rzęsim deszczem. Niezbyt zachęcająca pogoda, zwłaszcza na zwiedzanie parku. Ale skoro zostaliśmy w Humaniu to nie zamierzamy z wizyty w „Zofiówce” zrezygnować. Wstajemy parę minut po godz. 8 i pakujemy nasz samochodzik. Do bramy parku docieramy chwilę po jej otwarciu, ale gwałtowna ulewa zmienia nasze plany. Zamiast spaceru wybieramy się na śniadanie i poranną kawę. Po 40 minutach deszcz na tyle zelżał, że możemy ruszać. Przed główną bramą już tłumy. To miejsce jest jak widać bardzo popularne i chętnie odwiedzane przez zorganizowane wycieczki. I to nie tylko szkolne.

„Zofiówka” jest ogromnym parkiem. Całość kompleksu zajmuje ponad 160 hektarów. Na terenie znajduje się wiele ciekawostek, większość to obiekty sztuczne, powstałe dzięki ponad dziesięcioletniej pracy ponad 800 ludzi. Dokładny opis parku podaje francuski pisarz Auguste de Lagarde. Dzisiaj park robi ogromne wrażenie, a co dopiero na przełomie XVIII – XIX wieku. Poza olbrzymim arboretum, gdzie hodowanych jest kilkaset roślin z całego świata powstały tutaj dwa stawy połączone podziemną rzeką, po której można wybrać się na oryginalną „przejażdżkę” łodzią (co jest możliwe dzięki zmyślnemu systemowi śluz). Niestety – nie mamy tego szczęścia – stan wody i pogoda uniemożliwiają wycieczkę. Spacerujemy za to po parku, wśród ogromnej ilości zieleni, co raz mijając białe posągi, zabytkowe budynki czy malowniczo położone mosty. Odwiedzamy także jedną z jaskiń. Na wizytę w parku warto poświęcić cały dzień, pod warunkiem, że jest ładna pogoda. Dzisiaj nie dość, że cały czas leje, to jeszcze jest dość zimno. A w takich warunkach miejsce traci wiele na uroku. Ale co zrobić? Jak widać limit dobrej pogody wyczerpaliśmy z nawiązką.

Po wizycie w tym pięknym parku ruszamy w dalszą drogę. Początkowo jedziemy drogą magistralną kierując się na Winnicę. Zanim jednak udało się nam dotrzeć do miasteczka Nemirow, słynącego z produkcji znanej nie tylko na Ukrainie wódki, zatrzymujemy się widząc na poboczu auto podobne do naszego. Toż to bliźniak – stoi Discovery dokładnie tak wyglądające jak nasza Dyskoteka przed przeróbkami. A na dodatek – samochód ma polskie numery rejestracyjne. Pytamy się, czy nie jest potrzebna pomoc, ale nasi turyści tylko odpoczywali. Ruszyliśmy więc w dalszą drogę. Kilka km za Nemirowem zatrzymujemy się na poranne śniadanie. Plan obejmował również kawę. W międzyczasie dotarła do nas polska załoga i poznaliśmy trójkę młodych polskich podróżników – Gosię, Monikę i – ha imię ich towarzysza gdzieś w pamięci nam umknęło.

Bocznymi drogami docieramy do Kamieńca Podolskiego, który początkowo zwiedzamy w strugach deszczu. Piękne miasto, o silnych polskich korzeniach i wielkiej historii. Lokalizacja starej części miasta w niejako podkowie rzecznej, na wzgórzu naturalnie stworzyła twierdzę niemalże nie do zdobycia. Dodatkowo – imponująca twierdza na wejściu do miasta dopełnia reszty. Niestety – pora na zwiedzanie jest już dość późna, nie udaje się nam znaleźć czynnej kasy i już mamy wrócić z twierdzy jak niepyszni, gdy zostajemy zaczepieni przez ochroniarza pilnującego wejścia – za parę Hrywien wpuszcza nas do środka i zamek stoi dla nas otworem. Zupełnie inaczej zwiedza się takie obiekty samotnie, w niczym niezmaconej ciszy.

Wracamy do miasta na obiad, później ruszamy dalej, by chwilę później szukać miejsca na ostatni już podczas tej wyprawy nocleg.

Dzień osiemdziesiąty piąty - ostatni

24 czerwiec 2010

Ostatni dzień na Ukrainie. Wstawanie wychodzi nam dość kiepsko. Ale co się dziwić – za oknami szarówka, jest zimno, temperatura w samochodzie spadła do 14 stopni. To ma być lato? Przyzwyczailiśmy się do nieco cieplejszego klimatu. Jednym słowem – wracamy do domu. Zbieramy się błyskawicznie, na dworze nie jest zbyt fajnie, zwłaszcza że mocno wieje.

Dzisiaj zostaje nam dotarcie do granicy. Zastanawiamy się, czy nie jechać na przejście Malchowice – Nyżankowyczi. Nie wiemy tylko, czy tam jest jeszcze czynne przejście, wg polskiego starego atlasu drogowego – tak, ale ani polski przewodnik, ani atlas Ukrainy o nim nie wspominają. Ruszamy w kierunku miasta Sambor, za którym znajduje się już polska granica. Po drodze zatrzymujemy się na małe zakupy w Rogatyniu, a później na kawę w dawnym polskim miasteczku Drogobycz. A potem – przejazd bardzo dziurawymi drogami do Smilnicy, gdzie zdecydowaliśmy się na przekroczenie granicy w tym samym miejscu, skąd ruszaliśmy w podróż 1 kwietnia.

Stajemy w kolejce, w której będzie nam pisane oczekiwać blisko dwie godziny. Ale cóż zrobić – to przecież strefa przygraniczna i chyba jesteśmy tutaj jedynymi turystami. Reszta oczekujących to mieszkańcy przygranicznych wiosek i miasteczek żyjący z przygranicznego handlu. W końcu przychodzi i na nas pora, tutaj odprawa przebiega szybko i bez żadnych problemów. To ciekawe, bo ja mam raczej przeciętne wspomnienia z poprzednich wizyt na tym przejściu. A tu nic – żadnych łapówek, próby wymuszenia czy czegoś temu podobnego. Od naszych celników dowiadujemy się tylko, że Janusz z Ryśkiem granicę przekroczyli również dzisiaj, tyle że z samego rana.

Wjeżdżamy do Polski. Wreszcie prawie jak w domu. Nie jedziemy jednak najkrótszą drogą. Zanim wrócimy do naszych najbliższych postanawiamy jeszcze minąć Przemyśl i zajechać do Drohojowa. Tu spędzamy całe popołudnie i wieczór. I dopiero późnym wieczorem ruszamy w kierunku Śląska. Cała droga mija nam w strugach deszczu. No i mamy jeszcze dwie nieoczekiwane i niezbyt miłe przygody. Pierwsza – na obwodnicy Krakowa „okoniem” ponownie staje termostat i nie wiele brakło, by konieczna była laweta. Jakoś sobie jednak radzę z wystudzeniem silnika i bez większego pośpiechu, autostradą jedziemy dalej. Druga przygoda dopadła nas w Mysłowicach. Wpadliśmy w poślizg próbując awaryjnie zatrzymać Dyskotekę. Jakiś nieostrożny kierowca przewrócił na prostej drodze samochód dostawczy, a nasza „sprawna” Policja nie wpadła na pomysł dobrego oznakowania miejsca wypadku.

Do domu, do Nowej Kuźnicy dotarliśmy koło 4 nad ranem. Zostaliśmy przywitani przez moich rodziców.

Skończyła się kolejna wielka przygoda.

